

Kronika tygodniowa.

Gdybym był politykiem na większą skalę, to jest co najmniej takim, który jedną nogą „robi politykę“ w Krakowie, drugą zaś we Wiedniu, bawiłbym teraz z pewnością na wakacyjnych wywczasach w Maryenbadzie. Ponieważ zaś jestem tylko kronikarzem *Nowości illustrowanych*, siedzę spokojnie w Krakowie i kąpię się we własnej wannie, o ile naturalnie nie pęknie jaka rura wodociągowa, pozbawiająca nas białoskiej wilgoci. Miałem zamiar, ze względu na modę, rozpocząć bodaj tutaj na miejscu maryenbadzką kurację, ale różne okoliczności stanęły mi na przeszkodzie. Znalazłem już nawet towarzysza niedoli, który miał zamiar zabawić się w „Karlsbad“ i obiecywał towarzyszyć mi na porannych spacerach wzdłuż starego koryta wonnej Rudawy, ale w ostatniej chwili zmienił orientację kuracyjną i wyjeżdża do Zakopanego.

Kuracja maryenbadzka połączoną jest z różnymi nieprzyjemnościami, dającymi się we znaki zwłaszcza podczas owego porannego spaceru na Błoniach, gdzie, jak na złość, choć „maryenbadczyków“ jest wielu, znajduje się tylko jeden jedyny pawilonik, wprawdzie stylowy i zbudowany z betonu, ale nie wystarczający bynajmniej dla wszystkich tych, którzy spieszą w jego gościnne wrota. Byłoby więc wskazaniem, by fizykat miejski postarał się o kredyty na jego rozszerzenie, ewentualnie pobudował ich więcej, lub w ostatecznym wypadku zalesił bodaj brzegi Rudawy. Dopóki to się nie stanie, o regularnym przeprowadzeniu maryenbadzkiej kuracji tu na miejscu, w Krakowie, i mowy być nie może.

Następstwem kuracji maryenbadzkiej jest schudnięcie, które objawia się spadkiem żywej wagi danego osobnika. Ponieważ zaś każdy z rozszerzonych obywateli miasta Krakowa, dzięki przymusowej dyecie i różnym postom, jest w tem miłym położeniu, iż i bez wody maryenbadzkiej staje się coraz bardziej filigranowym, doszedłem do wniosku, iż szkoda na nią niepiędzy. Zwykle zresztą tak się dzieje, iż każdy z kuracjuszy stara się najpierw, by schudł, (jedni dlatego, bo im to dobrze robi, inni, gdyż wyglądają bardziej interesująco...), potem zaś zaczyna się odżywiać intensywnie, aby znów powrócić *in statu, quo ante*, czyli wchodzi w to zaczarowane koło, z którego wyjściem chyba droga na Rakowice. Ponadto, woda maryenbadzka zdrożała, spacerów porannych nie można urządzać ze względu na oszczędzanie obuwia, należałoby więc chodząc boszo, czyli skombinować kurację maryenbadzką z kneippowską, a byłoby to dwa grzyby w barszcz.

Co wszystko rozważywszy należycie, rozpoczęcie kuracji odłożyłem na powojenne czasy, a na razie wysłałem swą lepszą połowę na wakacyjny odpoczynek do Kryniczy, złożony jej solenne przyrzeczenie, iż słomiane swe wdowieństwo spędzę jak Bóg przykazał, nie sprzeniewierzę się jej myślą, mową, ni uczynkiem, a nadto, o ile czas pozwoli i uregulowanym zostanie ruch pociągów, tak zwanych kominiarskich, podążę za nią, bodaj na jeden dzień co tygodnia, by się na własne oczy przekonać, czy jej czego nie brakuje. Zabrała ze sobą sporo prowiantu, który powinien wystarczyć bodaj na dwa tygodnie, dalszą przesyłką ja się mam zająć, zaopatrzyła się też w sporą ilość fajkowego tytoniu dla górali, aby, przy jego pomocy, prowadzić tam handel zamienny. Dzięki wojnie cofnęliśmy się kulturalnie o całe setki lat, w owe czasy, kiedy pieniędzy nie znano, a cały obrót handlowy polegał tylko na zamianie.

Wiedzą o tem dobrze nasi współobywatele z Kazimierza, nagromadzili też u siebie sporo tytoniowych zapasów i przy ich pomocy prowadzą pertraktacje handlowe, świetnie się im opłacające. Nie brakuje im też niczego, do czego nasz żołądek wdycha napróżno i dlatego nie sobie nie robią z wojny, narzekając na nią tylko o tyle, o ile zbliża się jaki asenterunek. Ale i one nie dają się im zbyt łatwo we znaki, przeciętnie bowiem co drugi jest jakim dostawcą lub przedsiębiorcą, posiada więc warunki do starania się o uwolnienie od czynnej służby wojskowej, wychodząc z założenia, iż „słodko i zaszczytnie jest umierać za ojczyznę“, ale stokroć słodziej i pożyteczniej „być dla niej dostawcą...“

To się dopiero nazywa prawdziwą filozofią życia. Ponieważ i ja jestem filozofem, ale z innej szkoły, bojąc się, by mi znowu nie brakło miejsca na omówienie spraw aprowizacyjnych, zaczynam dziś od nich, politykę kantom puszczając, zwłaszcza, że w obu poprzednich kronikach zbyt jej wiele miejsca poświęciłem.

Apro wizacja zaś to grunt, zwłaszcza dla tego, kto ma zamiar rozpocząć kurację maryenbadzką. By się do niej nadawać, musi się być tłustym, a takim może być tylko ten, kto je dobrze i pije. A jak tu teraz

jeść i pić, gdy wszystkiego brak, a człowiek musi się żywić tem, co dawniej szło wyłącznie na użytek wszelakiego stworzenia, ozdobionego rogami i bez nich. Tuszcz z pomyj, szpinak z koniczyzny i inne tym podobne smakołyki są teraz na porządku dziennym, nie też dziwnego, że lada pies lub prosię patrzy na człowieka z podelbą, widząc w nim wroga, sprząającego mu z przed nosa to, co dawniej tylko dla nich było przeznaczonem. Mają najzupełniejszą rację owe bezmyślne, a przecież mądre stworzenia, mają jednak i ci, którzy mówią, że schodzimy na psy. Bo tak jest w rzeczywistości!

Gdy zaczął onegdaj zastanawiać się nad tem, czego nam brak, doszedłem do przekonania, iż wszystkiego, pozostał nadmiar jedynie tylko w dziedzinie środków na schudnięcie, których dziś nikt nie używa, mogąc w sposób zupełnie naturalny dojść do wyglądu zapalki...

Są wprawdzie różne władze, które mają za zadanie zajmować się sprawami aprowizacji, z ministerstwem amunicji żołądkowej na czele, ale działalność ich, jak dotąd przynajmniej, nie wykazała jeszcze tych błogosławionych skutków, na jakie oczekiwaliśmy. Dzięki różnym centralom, które miały równomiernie rozdzielić wszelkie zapasy, mamy tylko nierównomierne braki, a już zupełnie nie możemy zrozumieć, dlaczego na przykład obywatel miasta Krakowa ma dziennie spożywać mniejszą rację chleba, niż Wiedeńczyk?... Bo tak wypada z rozdziału maki na tydzień i głowę (raczej żołądek). Kto mi to potrafi wytłumaczyć i uzasadnić, otrzyma w zamian, jako nagrodę, kartę na pobór denaturowanego spirytusu, którego nie mogę nigdzie dostać, choć mam nawet protekcję panów z Centrali spirytusowej!...

Miejski urząd aprowizacyjny zmienił niedawno nazwisko na „gospodarczy“ i gospodarowałby może, gdyby miał czem, niestety jednak na drodze do Krakowa leżą różne miasta, gdzie ludzie są także głodni i tam dostają się zapasy, przeznaczone do zaspokojenia naszych apetytów. Niedawno czytałem, że do Krakowa „skierowano z Gausendorfu cały pociąg maki“, czy on jednak nie zmylił drogi i nie pojechał w przeciwnym kierunku, tego powiedzieć nie mogę.

Dajmy jednak na to, że pociąg ten w samej rzeczy w Krakowie się zatrzymał, że mąka była pierwszej jakości i zupełnie nie stęchła, że ją rozdzielono piekarzom. Sądzić należałoby, że, skoro piekarz otrzymał piękną mąkę i chleb będzie lepszy jakościowo. Tymczasem zaś dzieje się zupełnie inaczej, gdyż nasi panowie piekarze, vulgo męczybuły, to bardzo dowcipni ludzie, którzy mąkę piękniejszą chowają i sprzedają potem pokątnie po wysokich cenach, a chleb wypiekają z najrozmaitszych rozmaitości. W ten sposób hartują nasze żołądki, a i to coś znaczy. Dziś dopiero widzimy, że rację miał, kto wymyślił przysłowie: „Kto na ciebie kamieniem, ty na niego chlebem“... bo w dzisiejszych warunkach obaj wyjdziecie z tej walki ze siłcami.

Obok chleba i maki najbardziej dolegającą wszystkim bolączką jest węgiel, doprowadzający nasze gospodynie do prawdziwie czarnej rozpacz. Brak go zupełny. w skąpej bardzo ilości otrzymują go tylko wybrani i to po cenach, wyśrubowanych do ostateczności!... O zrobieniu zapasów na zimę niema ani mowy. Pocieszają nas wprawdzie, że tego roku można się będzie obejść bez węgla, gdyż zima będzie przeniesiona na przyszłe lato, a ono zajmie jej miejsce, ja jednak wątpię w to i przypuszczam, że będziemy i tego roku porządnie marzli, a wnoszę to choćby z tej tylko okoliczności, iż już teraz zaczynają mi na łysinie porastać nowe włosy, co jest niechybnym znakiem, wedle ludowych wierzeń, bardzo ostrej zimy. Gdyby to chciały tak wyrosnąć świeże włosy na mem futrze, które też wyłysiało!... Próbowałem różnych cudownych maści na porost włosów, nawet wyrobn Ihnatowicza i pani Anny Csillag, ale wszystko na nie się nie zdało.

Na domiar wszystkiego obiecują jeszcze, że w zimie, z powodu właśnie braku węgla, ustanie dostarcza nie odbiorcom gazu świetlnego do celów gospodarczych, że więc, wobec tego, narażeni będziemy na marznięcie.

Szkoda jednak o tem i pisać, zwłaszcza, że na to nie poradzi nikt, jak powiadają, nawet i Centrala węglowa, która stale konstatuje, że węgla brak i że produkcja nie odpowiada zapotrzebowaniu. Zresztą Galicya, to kraj rolniczy, mający wiele lasów, niech więc pali drzewem. Ale skąd go wziąć, skoro i ono jedzie na zachód?... Taki już wiatr wieje!

Węglami pali się w piecu, na piecu grzeje się mleko, do niego więc krok tylko jeden. Jak dotąd, mleka mieliśmy tyle, ile nam mniej więcej potrzeba, to jest nie za dużo i nie za mało, choć, prawdę rzekłszy, nieraz go brakło tu i ówdzie. Teraz jednak będzie gorzej, ktoś tam bowiem przyszedł do przekonania, że Galicya, jako kraj mlekiem i miodem płynący, nadmiar

swego mleka powinna skierować tam, dokąd dąży wszystko, to jest na zachód. Gdyby to o miód chodziło, nie miałbym nic przeciw temu, co się mleka przecież tyczy, to mam pewne wątpliwości, czy to Galicyi wyjdzie na zdrowie. Pomysły, zrodzone przy zielonym stoliku, nie zawsze są trafne. Niech Galicya dojdzie do tego stanu bydlę rogatego, jaki miała przed wojną, można będzie wówczas myśleć o eksporcie mleka na zachód. Jak długo przecież stosunki się nie zmieniają, ani mowy o tem być nie może, chyba, że mamy być wydani na pastwę głodowej śmierci.

Zupełnie podobnie dzieje się z mięsem i wędlinami, które dla wielu z nas są jednym z najważniejszych artykułów spożywczych. Nawet najordynarniejszej kielbasy brak, bo całe wagony różnych świńskich delikatesów wędrują co tydzień w stronę Wiednia. To pewne, że Wiedeńczyk, mając żołądek i apetyt, musi jeść, ale też równie pewnem jest, że i Krakowianin ma te same, co on, prerogatywy. Innego przecież zdania są panowie, którzy wszystkiem tem kierują z poza zielonego stolika.

I kto wie, czy cały numer *Nowości Ilustrowanych* wystarczyłby na to, by rozwodzić się nad różnymi brakami i wszelkimi niedomaganiem życia, które z obowiązku kronikarskiego muszę poruszyć i iść nad nimi wylać. Ale zaraz ją i ocieram, czytając zapewnienie, że czynniki, do których to należy, wentylują różne projekty, jak możnaby złemu zaradzić. Ale, czy owa wentylacja zda się na co?... Obawiam się, że może nie, gdzie bowiem wentyluje się zbyt silnie, przestaje musi z samej natury rzeczy przeciąg, który zdmuchnie z przed nosa i najwspanialsze pomysły. Nie traćmy przecież nadziei, że będzie lepiej i że się wojna skończy, wbrew oświadczeniom różnych polityków, jeszcze przed zimą, zanim pojawi się znowu lord Kitchener, który się wprawdzie utopił, ale, jak zapewnia jego rodzona siostra, niedługo znów ożyje.

Jak z jednej strony okazuje się skłonność do pokoju, tak z drugiej wieje duch coraz bardziej wojowniczy. Syam wypowiedział wojnę mocarstwom centralnym, Chiny zbierają też swe wojska, by je pchnąć na front europejski, prawdopodobnie rosyjski, by się Moskalowi wywdzięczyć za to, iż stale odbierał je ze skóry... Jako zdeklarowany pacyfista przechodzę nad tem do porządku dziennego, radząc jednemu i drugiemu, by siedzieli cicho, pilnując swego nosa. Co dziś mnie, jutro tobie — mówi przysłowie, a na tej podstawie łatwo stać się może, iż Anglia z czasem zabierze się do wyprawienia skóry chińskiej i syamskiej. Zwłaszcza, jeżeli się pokaże, że to dobry dla niej interes.

Kilka słów wzmianki poświęć muszę i odwrotowi Moskali z Galicyi. Dopóki była to armia białego cara, mówiliśmy i pisali, że to horda dzikich barbarzyńców, a pisma notowały niejednokrotnie jej gwałty i bezprawia. Dziś, gdy pod obuchem rewolucyjnej runął tron carów, byliśmy pewni, że w szeregach rosyjskich zapadają więcej ludzkie instynkty, tymczasem widzimy, iż zaszła pomyłka. Cała wschodnia Galicya, z której najeźdźca ustąpił, przedstawia obraz tak strasznego zniszczenia, iż prosto wierzyć się nie chce, iż sprawcami jego są... bojownicy za wolność! Moskale wstępują widocznie w ślady Anglików, którzy także w imię wolności palą i mordują. Galicyjczy rusofile, o ile jeszcze tacy są, mają miłą pamiątkę z pobytu swych uwielbianych przyjaciół!...

Z chwilą ustąpienia Moskali za Zbrucz, wypogodziło się u nas, a nawet i ociepliło się, widocznie więc i cała przyroda cieszy się z pozbycia tych nieproszonej gości, którzy chyba już zrezygnowali z projektu napicia się kawy we Wiedniu i Berlinie. Nie uda im się to nawet przy pomocy pana Wilsona, który przecież może wrócić do rozumu i obejmie znowu stanowisko orędownika pokoju, zamieniając miecz na różdżkę oliwną. Ameryka zarobiła dość na tym interesie, nie powinna więc lekkomyślnie wydawać pieniędzy na tak niepewne przedsięwzięcie, jak wojna. Bo... nuż się noga powinie i szczęście wojenne zawiedzie? Amerykanie nie darowaliby tego swemu prezydentowi, ale gotowi go, w dowód wdzięczności, powiesić na pierwszej lepszej latarni, a tych ani w Nowym Jorku ani w Waszyngtonie nie brakuje!...

Gdyby mnie chciało słuchać, a wiadomo, że nie raz radzę bardzo mądre, ułożyłbym takie warunki pokojowe, iż żadna ze stron walczących nie mogłaby ich nie przyjąć. Każdy otrzymałby, co mu się należy, nie zapomnielibym nawet o królu Nykicie, który, biedaczysko, nie ma dziś nawet tej władzy, co król kurkowy w Krakowie!... Niech się tylko zgłoszą do mnie, czy to prywatnie, czy w drodze urzędowej, a nie poskapię dobrej rady, w zamian nic nie żądając, nawet honorowej emerytury... Bo wojny mam już dość i byłbym bardzo rad, gdyby raz wreszcie zawitał pokój, a z horyzontu zniknęły te rozmaite kartki chlebowe, cukrowe, spirytusowe, naftowe i t. d.

Co daj Panie Boże, jak najprędzej!...